

ANNA

[Urodziłam się w 1932r. w Turówce. Turówka była moim rodzinnym majątkiem kupionym w 1830 r. przez jednego z moich ciocięznych dziadków. Turówka leżała w woj. tarnopolskim, niedaleko historycznego Zbaraża i za-
ledwie kilka kilometrów od ^{przebiegała} Zbrucza, po której biegła granica Polski, nasza granica z 39r.]

Moimi rodzicami byli Ryszard i Maria Małachowscy. Oboje wywodzili się z rodzin ziemiańskich. Turówka była posagiem mojej matki; w momencie przej-
mowania administracji przez moją matkę była już resztówką i ziemi było ok. 500 mórg. Był to mój bardzo ciepły, kochany dom, zawsze pełen rodzi-
ny, zawsze pełen troski, ciepła i serca.

Była nas /w 39 r. - dop. red./ trójka rodzeństwa: mój najstarszy brat - starszy ode mnie o 3 lata - Tadeusz, starszy o 1,5 roku - Stanisław /i ja/.....

Wydarzeń 17 września dokładnie nie pamiętam. Nie wiem jak przebiega-
ło samo wejście wojsk sowieckich, nie pamiętam rewizji żadnej. Pamiętam dopiero ten moment, kiedy znaleźliśmy się na wsi, w prostej chłopskiej cha-
cie, bardzo życzliwie przyjęci przez rodzinę, która prawdopodobnie pracowa-
ła na folwarku... Byliśmy na wsi przez 3 dni /wysiedleni przez wojska sowieckie z majątku/. Potem wyjechalismy do majątku moich dziadków - ro-
dziców matki - do Czernielowa, odległego od Turówki o ok. 30km i ok. 16km od Tarnopola. W Czernielowie znaleźliśmy się ok. 20-go września; było tam już wiele ~~mnich~~ przygarniętych rodzin - wyrzuconych z majątków oraz kilkanaście osób - uciekinierów z Warszawy.

6-go października dziadek mój również dostał nakaz opuszczenia Czer-
nielowa. Był to nakaz bardzo kategoryczny - kazano się w ciągu dwóch go-
dzin wynieść z majątku. Jednak pakowanie i przygotowywanie się do wyjazdu trwało do następnego dnia. Niestety, następstwa tego przedłużenia się pa-
kowania były przykre, ponieważ właśnie w momencie, kiedy wszyscy wyjeżdża-
liśmy z Czernielowa, wkroczył oddział wojska sowieckiego /który kazał/
wyładowywać wszystkie fury, zaczęła się rewizja, przeglądanie kufrow. Oczywiście trzeba było wyładować większą część rzeczy, i tak przetrzebieni jechaliśmy do Tarnopola.

W Tarnopolu mieszkała matka mojego ojca z jego dwiema siostrami. Moja matka z naszą trójką, znaczy ze mną i z ^{moją} dojką mego rodzeństwa pojechała oczywiście do /tej/ babci - Ludgardy Małachowskiej i tam zamieszkałymy ~~razem~~ razem na ul. Sokoła, w 4-ro-pokojowym, dość sporym mieszkaniu. Ojca ~~z nami~~ nie było, ukrywał się wówczas, dopiero zjawił się w grudniu, w bardzo zresztą nieodpowiednim momencie, o czym powiem później.

Jeszcze gdy byliśmy w Czernielowie, 1-go października nadszedł list z Turówki od jednej z naszych pracownic domowych - naszej kucharki Hani - prawdopodobnie, bo nie znam tego charakteru pisma, którego fragmenty może tutaj przytoczę:

"Droga nasza Pani! Na folwarku wielka zmiana, było rozdano dla ludzi, jako też i świnie. Pozostały konie wszastkie, bunaj i knur. Trochę rozebrali również owiec. Służba nadal pracuje, buraki wykopane. W pokojach nie zabrano pozostałych rzeczy. Ulokowano w nich dwóch Czechów jako porządkowych, dla których przeznaczył Komitet Magdę Majłowską, by gotowała jeść. Dzisiejszej nocy przybyło na nocleg wojsko na folwark... Ksiądz jest w domu, zarówno nasz jak i ruski, spokojnie siedzą, spełniają swój obowiązek. Tylko zabroniono modlitwy i religii w szkole. W Turówce spokój, nikomu najmniejszej krzywdy nie zrobiono. Cóż ubrania, postaramy się Pani dostarczyć. Oprócz chudoby, nic więcej nie zabrano z folwarku, a co dalej nastąpi, doniesiemy Pani. Z ukłonami, pozdrawiamy Państwa, z życzeniami szczęśliwego powrotu do swego domu. W Bogu nadzieja. Całujemy rączki - Wierne Sługi".

[Jeszcze powracając do Turówki... ludność wiejską stanowili w większości Rusini, czyli tzw. unicy. Było też trochę rodzin polskich i ukraińskich, które zresztą w następnych latach odegrały bardzo bolesną rolę; dotyczyło to roku 1943, kiedy to właśnie była pacyfikacja wsi i większość rodzin polskich była przez Ukraińców wymordowana, a prawie cały majątek spalony. Rusini dobrze współżyli z Polakami, byli już zupełnie innymi ludźmi.]

Powracając do naszego pobytu w Tarnopolu: pod koniec listopada na początku grudnia 39r. zjawia się nasz ojciec zaniepokojony stanem mamy, która była wtedy w ósmym miesiącu ciąży. Wiele nieostrożności /wtedy/ ojciec popełnił, za które później wszyscysmy bardzo ciężko zapłacili. 6-go grudnia rodzice urządzą nam jeszcze Sw. Mikołaja, następnego dnia były moje urodziny - też bardzo ciepło urządzone. Byliśmy wszyscy razem, byliśmy wszyscy szczęśliwi tego dnia. Następnego, ojciec właśnie przez swoją nieostrożność, podobno zgłasza się do jakiejś rejestracji, która była ogłoszona, a o której ja mam dokładnych informacji /może je jakos jeszcze zdobędę/. Sytuacja staje się coraz bardziej napięta, zdenerwowanie w domu rośnie, nadejdą wiadomości o aresztowaniach i transportach-wywózkach w głąb Rosji. 9-go grudnia budzą nas w nocy łomoty do drzwi, wschodzi 3 mężczyzn: Ukraińiec, Żyd i jeden NKW-dzista. Tym Żydem był niestety sklepikarz z ulicy Sokoła, ^{/u Kłórego/} gdzie moja tarnopolska rodzina zaopatrywała się w świeże pieczywo.

Po przesłuchaniu ojca, w salonie, ustawiają nas pod ścianą i ~~razem~~ zaczynają się rewizja. Po przewróceniu do góry nogami całego domu nad ranem zabierają ojca. Wychodząc, jeden z nich, z szyderczym uśmiechem uspakaając nasze płacze, powiedział, że za dwie godziny ojca nam zwrócą. Minął cały dzień pełen smutku i oczekiwania. Następnego dnia, 10-go grudnia, mama gdzieś dowiedzieć się co się stało i po paru godzinach wraca z wiadomością, że ojca aresztowano. Teraz dopiero zauważamy, że mama z kruczej brunetki stała się szpakowata. 11-go grudnia NKWD zabiera część mieszkania - 2 duże pokoje z frontowym wejściem; pozostają dwa nieduże pokoiki i słuźbówka z kuchnią, a nas - troje dzieci i 4 dorosłe osoby. Ciasnota była nie do wytrzymania. Świąt Bożego Narodzenia praktycznie nie ma, skromna wigilijna kolacja, bez choinki, pełna smutku i rozpacz.

29-go grudnia przychodzi na świat nasza najmłodsza siostra - Jadwiga. Poród jest przedwczesny, ale mama dzielnie go znosi i nieźle się czuje. Przez styczeń i luty mieszkamy jeszcze razem z babcią Ludgardą, a na początku marca 40 r. po długich poszukiwaniach mama wynajmuje mieszkanie w domku z ogrodem, na peryferiach miasta przy Nowym Świecie. Przeprowadza się tam z moim najstarszym bratem Paziem i z Jadwisią, Stas zaś zostaje z babcią Ludgardą - matką mego ojca - na ~~ulicy~~ ulicy Sokoła. Mnie natomiast zabiera do siebie babcia Andzia - matka mojej matki - która mieszka u swoich przyjaciół na ulicy Moniuszki - u pp. doktorostwa Leonardów.

Mama często chodzi do więzienia z paczkami, ale w połowie marca dowiaduje się, że ojca i większą ilość innych więźniów wywieziono do Odessy. Od tego momentu nie mieliśmy już żadnej od ojca wiadomości. Dopiero w 1947r. dostaliśmy list od kuzynki mego ojca - Leny Małachowskiej, która z Syberii wyszła z Andersenem i znalazła się w Indiach. Spotkała tam podobno więźnia zbiegłego ze Starobielska i na podstawie jego relacji /można sądzić/, że cała grupa więźniów z Odessy została przewieziona do Kisłowodzka na Kaukazie, z Kisłowodzka do Starobielska. I na tym się ślad urywa. Przypuszczał - ów towarzysz więzienny mego ojca - że wszyscy zginęli w Katyniu; nigdy jednak nie odnaleźliśmy żadnego śladu w spisach katyńskich. /Ojciec/ musiał się więc znaleźć w tej grupie, której nigdy nie odnaleziono, a być może stracona została pod Smoleńskiem.

[Aresztowanie mego ojca było początkiem dalszej naszej tragedii. W międzyczasie wiele jeszcze smutnych wydarzeń zaszło w Tarnopolu: np. 7-go kwietnia 40-go roku zrobiono kocioł w męskim gimnazjum matematyczno-przyrodniczym im. M. Kopernika. Był tam jeden z punktów sporu. Tego dnia otoczono gimnazjum, 8 osób skazano w trybie doraźnym na

kars śmierci, pozostałych nauczycieli i uczniów, z dyrektorem panem Leszczyńskim, wywieziono w niewiadomym kierunku i ślad wszelki po nich zaginął.] Mówię o tym dlatego, że wśród uczniów znajdował się Tadeusz Sambor, najstarszy syn p. Marii Samborowej, o której powiem nieco później.

[13 kwiecień 40r. był dla nas sądnym dniem. ~~Był to drugi termin wywózki w głąb Rosji, trwał zdaje się od 13 do 15 kwietnia. Wywożono wówczas rodziny aresztowanych, urzędników, wojskowych, pracowników sądu, policjantów i ziemian. O świcie przyjechano po mamę /którą zabrano/ z dwójką mego rodzeństwa. Usobno zabrano babcię Ludgardę ze Stasiem i jedną z sióstr mego ojca. Po mnie gospodyni mojej mamy wysłała swego syna z zapytaniem, czy chcę zostać w Tarnopolu, czy chcę jechać z nimi. Zdażyłam dotrzeć na miejsce i niedługo potem znaleźliśmy się na stacji w bydłowych wagonach z piętrowymi pryzkami i w wielkim tłoku. Zaryglowano drzwi i pod liczną eskortą ruszyliśmy na 6-letnią tułaczkę.~~

W warunkach w wagonie były chwilami nie do zniesienia; niewielka dziura w podłodze służyła nam za wychodek, a także za wentylator; bowiem w niektórych momentach małe okna, które znajdowały się pod sufitem wagonów, zakratowane, z zewnątrz zabijano deskami, byśmy nie mieli kontaktu z niczym, co się dzieje na zewnątrz; gdy pociąg przejeżdżał przez jakieś miejscowości robiła się natychmiast ciemność w wagonie. Zaczął nam dokuczać brak wody. Szczególnie cierpiało nasze malenstwo - Jadwisia, miała wtedy 3,5 mies. i brak wody stał się przyczyną jej straszliwych odparzeń, ślimaczących się później tygodniami.

W wagonie byli sami Polacy i wszyscy pochodzili z Tarnopola. Jeszcze mieliśmy co - pozwolono każdemu zabrać trochę suchego prowiantu, ponadto rano i wieczorem dostawaliśmy wiadro "kapiatku", a w południe wiadro okropnej zupy - była to namiastka krupnika lub tzw. śszczy, czyli kapusniak. Nie pamiętam, czy w ciągu dwóch tygodni kiedy wypuszczono nas chociaż raz na świeże powietrze... Mam obraz tego dusznego, ciemnego wagonu.

Dojechalismy do Omska, część ludzi wyładowano, a część pojechała dalej do Pawłodaru - niedużego portu na rzece Irtysz. Wyładowano nas w stepie przed stacją. Mrowie ludzi, głównie kobiety z dziećmi. Po wielu godzinach nadjechały ciężarówki, na każdą z nich ładowano po kilka rodzin i każda odjeżdżała w innym kierunku.] Okazało się, że na jednej z ciężarówek znajduje się babcia ze Stasiem i ciocią; nie pomogły żadne prośby ani starania żebyśmy się mogli połączyć. Trzeba było potem wielu starań, przez wiele miesięcy, by ^{znów} znaleźć się razem.

A oto fragmenty pierwszego listu mojej matki do kuzynki w Tarnopolu: "Kochana Marysiu. Telegrafowałam swój adres do Mani, ale od tygodnia nie ma żadnej odpowiedzi. Wyślij do mnie depeşeę co się z Wami dzieje. Rozdzielili nas złośliwie od pociągu z Manią, Stasiem i Anusią. Nie umielismy się postarać, żeby być w jednym aucie... Przez te dwa tygodnie jesteście już na 3-cim miejscu, a za każdym etapem jest coraz gorzej. Ostatecznie jeszcze żyjemy... Dzieci pochorowały się na żółdkę, Taizio jest jakiś zdechły, Anusia kaszle, a Jadwisia ma bronchit, ale bez gorączki, więc może wyżyje"....

Fragunty te pochodzą z listu z 14 maja 1940r.

[Znaleźliśmy się w jakimś kołchozie - fermie- czy aule, nie pamiętam co to było, w każdym razie było to małe osiedle złożone głównie z lepianek, tzw. ziemianek, czyli domków wpuszczonych w ziemię, z małymi okienkami na poziomie ziemi, wylepiane czasem jakąś gliną, z klepiskiem, bardzo zimne, wilgotne i nieprzyjemne. Były to domki przygotowane głównie dla przyjezdnych Polaków. Mieszkało w nich zazwyczaj kilka do kilkunastu rodzin... Czasami mieszkaliśmy z Kazachami] ale tylko awaryjnie, potem o tym powiem.

[Pod koniec maja przewieziono nas, czyli moją matkę i nas troje do portu w Pawłodarze. Na przystani było wiele ludzi. Czokaliśmy na podstawienie barki. Jechaliśmy później dość długo, wydaje mi się, że były to dwa dni i 1 noc. Władowano nas wszystkimi pod pokład. Było tak strasznie ciasno, że nie mieliśmy się gdzie podziać na podłodze, nie można było spać, bo po prostu leżeliśmy jedno na drugim. Płynęliśmy w górę Irtyszu, ok. 300 km na pld.-wsch. - do Semipałatyńska. Przypłynęliśmy już o zmroku, a więc nocować trzeba było pod gołym niebem na stepie. Rano następnego dnia zajechały znajome nam już ciężarówki, które po załadowaniu nas i naszych rzeczy rozjeżdżały się znów w różne strony.

Na naszej ciężarówce jechało 5 rodzin. Jechaliśmy kilkanaście kilometrów, przez teren coraz bardziej urozmaicony, a było to przedgórze Altaju. Dowieziono nas do małej miejscowości, która nazywała się Pojma, nad małym dopływem Irtyszu - Kizyń-Su.]

Fragmenty jednego z pierwszych listów pisanego do mego dziadka, ojca mamy, pisany właśnie z Pojmy:

"Kochany Tatusiu. Jesteśmy w nowej miejscowości, nad brzegiem rzeki...., w której są ogromne wiatry, a wyniosłość dość wysoka ochrania nas przed tymi wiatrami. Wiatry są nie do wytrzymania czasem... Jadwisia jest bardzo chuda i mizerna, przechodziła zapalenie płuc, zapalenie opłucnej, koklusz. Jest bardzo wynędzniała, jest bardzo

słaba. Wprawdzie chwilami się śmieje i zaczyna łapać rączkami różne rzeczy, ale nie wiem czy wyżyje. .. Mieszkanie nasze to jest duża jama, pełna pluskiew i pcheł. Anusia łapie je znakomicie, czego mnie się nie udaje robić. Doszły do tego również komary, które całymi stadami nas atakują. Narazie nikt jeszcze na malarię nie zachorował. Bardzo lubię jaskółki obserwować, które mieszkają w sionce naszej jamy. Są również dzikie kaczki i mnóstwo ptactwa. Nie ma natomiast żab, bo o tej porze ~~roku~~ jest już wszystko wysuszone, jest mało wilgoci... Zbóż żadnych nie widziałam. Żyta tu nie sieją, pszenica w tym roku ma wyrosnąć najwyżej do 20cm, owsa też chyba nie ma, kartofli też nie sadzą. Wodę z rzeki dowożą wozami zaprzęgniętymi w woły. Konie są tylko używane do jeżdżenia. Są również wielbłądy jednogarbne używane jako siła pociągowa, sympatyczne zwierzaki o dobrych oczach. Jest tu tak bardzo sucho, brak wilgoci, człowiek się często dusi... Zdaje się ogólnie, że klimat jest dość zdrowy, ale co będzie dalej - zobaczymy. Boję się o Jadwisię, żeby nie dostała gruźlicy.... Tadeo łapie ryby, Anusia w dalszym ciągu z wielkim powodzeniem łapie pchły i pluskwy. Jest chwilami nieznośna. Jest przykra, no ale może to się zmienić. Warunki są bardzo ciężkie, więc jest to wytkumaczalne.... Dostaliśmy pierwszy list od Janusi, w którym pisze, żeby się starać o jaknajszybsze połączenie. Ja mam bliżej do centrali - 7 km, więc postaram się chodzić koło tego, chociaż jest mi trudno, bo wszędzie muszę z małą Jadwisią na rękach... Taka jest widocznie wola Boga. Czy tak ma być lepiej? - może tak. Może ta rozłąka też jest jakimś wyrokiem boskim.... Stas ma tylko to ubranko, co na sobie, martwię się o niego... Zawsze marzyłam o prymitywnym życiu, więc go mam, teraz je właśnie mam... żeby tylko jakos to przetrzymać. Boję się zimy, ale może Bóg da, że nie będziemy musieli jej tu spędzać... Może Bóg ocali Jadwisię. Jadwisia znów zaczyna kaszleć, bardzo się o nią martwię ciągle... Pluskwy szaleją, komarów coraz więcej... Tatusiu, proszę, módlcie się o nas, żebyśmy się mogli znaleźć jaknajszybciej razem"...

- Był to list pisany 26 czerwca 40r. [Est nam w rognie bardzo ciężko. Mamusia nie może chodzić do pracy, bo ma to maleństwo, którym się musi opiekować. Dostajemy jakies tam małe racje wyżywienia. O parę kilometrów jest sowchoz, u którego dostajemy mleko, sery, trochę prosa, z którego pieczemy chlebki.]

"Nie ma grysiku dla Jadwisi, więc używam do tego grubo zmielonej mąki, żeby jakies jedzenie można jej było preparować. Ciagle ją jeszcze karmię, nie wiem jak długo wytrzymam, ale jeszcze ciagle ją karmię"... - fragment z listu matki do dziadka.

[Od czasu do czasu mama jeździ do centrali. Nie wiem jak się

nazywała ta centrala, ale była oddalona od Pojny o 7km. /Mama/ ciągle robi starania o połączenie się nas. /Centrala/ to była jakas większa miejscowość, w której były tzw. kantory, zajmujące się sprawami Polaków /podległe NKWD/.

Ludność /Kazachowie/ jest nam życzliwa, jest nawet bardzo życzliwa. W okresie letnim koczują, wyjeżdżają na stepy ze stadami owiec i cieląt. Jest wtedy nam gorzej, bo brak kontaktów, miejscowość staje się wyludniona. W lipcu lub sierpniu udaje się do nas ściągnąć Stasia. Jest wielka radość. Łowią razem z Tadzkiem ryby w rzecze, jest weselej, mamusia też trochę dochodzi do równowagi, chociaż często miewa depresje.... W pewnym momencie nadchodzi ~~xi~~ wiadomość, że pozwolą nam sprowadzić babcię z ciocią. I nie wiadomo co się stało - gdy przygotowaliśmy się do ich sprowadzenia, nadchodzi wiadomość, że zabroniono im przyjazdu. Następne starania trwają znowu kilka tygodni. Wreszcie - my wyjeżdżamy w okolice Pawłodaru. Jesteśmy w tzw. 10-tym aule, jesteśmy razem z babcią i ciocią, jesteśmy szczęśliwi, ale warunki są coraz cięższe. Mama w dalszym ciągu nie pracuje. Ciocia - jedyna jedyna - jeździ codziennie do pracy - zabierają ją gdzieś na stepy, pracuje przy wypasie cieląt. Większość Polaków, głównie kobiety, pracowała w fermach zajmujących się hodowlą cieląt. Praca trwała od 6 rano do zmroku.

Zaczyna się głód. Płacili za pracę w naturze - 200g chleba dziennie na 7 osób, trochę kaszy i maki. Na jakiś czas przenoszą nas na fermę która nazywała się Dżucu-Kodukz. Warunki są coraz cięższe. Zaczynają się choroby i stan ten trwa do początku lub połowy listopada. Później przenoszą nas /z powrotem/ na 10-tą fermę i umieszczają w baraku, który był przygotowany dla cieląt, czyli po prostu mieszkamy w cielętniku. Jeszcze co prawda cieląt tam nie było, ale był to drewniany barak o cienkich ścianach, z klepiskiem.

Nadchodzi bardzo ciężka zima, której się tak moja mama bała. Zima potworna, dużo śniegu. Przed świętami Bożego Narodzenia, czyli w połowie grudnia, zaczyna się burza śnieżna, zwana buranem i zasypuje nas w cielętniku.]


Był tam jeden piec. Mieszkało z nami kilkanaście rodzin... Cielętnik był podzielony na przegrody i w każdej przegrodzie mieszkało po kilka rodzin. Paniątam kilka nazwisk. Poza nami była rodzina Sawickich - siostra z dwiema szwagierkami i dwie szwagierki Zawidzkie. Było mnóstwo małych dzieci. Były też dwie rodziny żydowskie: Teinholzów - matka z dwiema córkami, bardzo ciężka rodzina, wiecznie się biły, tłukły i wprowadzały w nasze życie wielki zamieszanie, oraz - pani Kiwecowa z dwiema córkami /12-to i 14-to-letnią/ - niesłychanego spokoju osoba, bardzo życzliwa dla otoczenia.

[...Zasypani zostaliśmy dosłownie tak, że brakowało już powietrza, zaczęliśmy się dusić. I wtedy, p. Kiwecowa⁵ i jedna z pań Zawidzkich postanowiły, że będą szukać dla nas ratunku. Ponieważ drzwi otwierały się do wewnątrz, wobec tego za pomocą jakichś narzędzi zostało odkopane wyjście na zewnątrz, w śniegu, i te dwie panie postanowiły dojsć do kantoru, który był bardzo niedaleko - paręset metrów od cieletnika. Wiatr był tak silny... tak strasznie wiało, że pani Zawidzka zawróciła. Starła się odmówić /skłonić do tego samego/ panią Kiwecową, żeby nie szła, ale ona stwierdziła, że musi swoje dzieci ratować i jednak wyjdzie szukać ratunku. Dostaw jedzenia oczywiście nie było. Po paru godzinach przyszła grupa Kazachów. Później okazało się, że wychodzący z kantoru Kazachowie natknęli się na leżącą p. Kiwecową; była strasznie odmrożona, zabrano ją do kantoru i położono pod piecem. Następstwa tego były straszne.

Nas wyniesli Kazachowie na plecach /bo sami nie mieliśmy sił iść/^x - każdego osobno i wszyscy znaleźliśmy się w kantorze, w dużej sali, gdzie mieszkaliśmy kilka dni. Pani Kiwecowa pod tym piecem po paru godzinach była w strasznym stanie. Sięgnięto jakąś pomoc lekarską z Pawłodaru i zabrano ją tam ^{na drugi dzień} ~~na drugi dzień~~. Okazało się, że trzeba jej amputować obie ręce. Zostały ^{dwie} córki, które po jakimś czasie zabrano od nas i prawdopodobnie znalazły się też w Pawłodarze w jakimś sierocińcu. Jakie były dalej losy tej rodziny - nie wiem. Później widocznie przewieziono je dalej, bo potem okazało się, że w Pawłodarze ich nie ma.

[Nas pominieszczano w różnych chatach kazachskich, razem z Kazachami. Czasem w jednej izbie z nimi, czasem w osobnych i tak przetrwalismy do wiosny. Na wiosnę 41-go roku przeniesiono nas na jakąś fermę, była to druga ferma, później trzecia i zaczęło się życie od początku, tak jak przed cieletnikiem.

Znowu lato, znowu wypasy cieląt, praca ciężka bardzo, ponad siły, choroby, zaczęły się pogrzeby.]



Wracając jeszcze do cieletnika, przeczytam jeszcze fragmenty listu mojej matki pisanego do mojego dziadka z pierwszego grudnia 40r.: "Tatusiu, jeśli dojdzie ta kartka na Wilię, pomyślcie o nas 5 godzin wcześniej niż Wasz wieczór, a my o Was później - aby Bóg dał, abysmy się wszyscy zjechali zdrowi. Po luźniku sądząc, chyba tak nam przeznaczono. Gdy już jest tak źle, że nie ma właściwie wyjścia coś udaje mi się sprzedać i znowu jest lepiej. Muszę jakimś sposobem odesłać dzieci do domu, bo do lat 14-tu można się wystarać, tylko trudno mi być w Pawłodarze, bo nie ma na to warunków. Wspólnie mamy za co przeżyć zaledwie przez grudzień, jedząc tak mało, jak w tej chwili. Marzenie - my okropnie, gdy mróz z wiatrem i śnieg zasypuje nas tak, że rano budzimy się pod przykrywą śniegu"... Dzis wielka radość: doszła paczka z Tarnopola, jemy chleb - normalny chleb"....
- i dopisek dziadka: "Wyszka mieszka w 52 osoby w takim baraku, dziwnym bardzo. Zupełnie się nie myją i są strasznie zawszeni" - to mowa o cieletniku.

Nawiązując do tego fragmentu, chcę powiedzieć o pomocy jaką dostawaliśmy. Otóż dochodziły do nas dość regularnie paczki z Tarnopola od mojej babki, korespondencja również. Paczki były wyłącznie żywnościowe: słonina, smalec, kasze, mąka, cukier. /Być może, że ubrań nie wolno było wysyłać/. Będąc jeszcze w cieletniku, przed zasypaniem, ~~była~~ na początku grudnia dostaliśmy wielką paczkę; nadawcą była pani contessa Severini z Włoch. W paczce były rzeczy niebywalej wartości: była czekolada, kakao, mleko w proszku, grysik tak wymarzony dla Jadwisi, mydło - wspaniałe mydło - białe, olbrzymie kostki z łabędziem.

Wracając do wyjścia z cieletnika, kiedy zostaliśmy już przerwani do kolejnych ferm....

Korespondencja odbywała się regularnie, cenzura raczej nie działała, z tym, że z Polski przychodziły tylko kartki, a z Kazachstanu wysyłano również normalne listy w kopertach, czasem pocztówki. Jeśli chodzi o paczki i korespondencję, to w którymś momencie się skończyła - był to moment gdy Tarnopol został zajęty przez Niemców /załączona pocztówka wysłana do nas przez dziadka, która wróciła opieczętowana, że korespondencja została przerwana¹//.

Wracając do wiosny 41 roku - moja matka czuła się coraz gorzej. Karniła najmłodszą naszą siostrzyczkę przez 14 miesięcy, a jak przestała karnić zaczął się tworzyć wrzód w piersi. Cierpiała okropnie.

¶ Po bardzo długich staraniach dostała się do szpitala, a starała się przez 7 tygodni. Dostała się do szpitala do Pawłodaru, gdzie po przecięciu piersi wydobyto 1,5 litra ropy. Od momentu tego zaczęły się

mamy choroby i w bardzo złym stanie zdrowia była przez wiele miesięcy...
Jadąc raz z Pawłodaru po zaopatrzenie, jakąś przypadkową ciężarówką,
nastąpił karambol, /widocznie ciężarówka się przewróciła/ i mama miała
po tym wypadku pękniętą miednicę. Później zapadła na "kurzą ślepotę"
wskutek ogromnego niedożywienia i wreszcie wybuchła dezynteria, która
zaczęła pochłaniać mnóstwo ofiar. Mama będąc w Pawłodarze na operacji
była sama jakiś czas. Myszki zostali z babcią i z ciotką w okolicach
Pawłodaru i dopiero po pewnym czasie, kiedy mama została przeniesiona
do Jermaku /na południe od Pawłodaru/, zostaliśmy tam ściągnięci, tzn.
nas czwórka /Babcia i ciotka jakiś czas jeszcze były na fermie/, póź-
niej przyjechały do nas. Po raz drugi mama znalazła się w szpitalu, już
w Jermaku, być może po zapadnięciu na dezynterię. Myszki wtedy mieszka-
li w jakimś dość przyzwoitym domu i tam byliśmy już wszyscy razem.

Fragment z pamiętnika mojego dziadka: "Na wiosnę, gdy Myszkę przenie-
siono z Pawłodaru do Jermaku, dostali oni mieszkanie, gdzie mieli osob-
ne i ładne pomieszczenie. Gdy napisałem do tej miejscowości na urodzi-
ny Myszki kartkę z życzeniami, miałem od niej odpowiedź, że pisze ze
szpitala, gdzie na dobrym łóżku i w czystej poscieli leczy ją poczci-
wy lekarz i troskliwy - na odmrożenia, którą prawdopodobnie nabyła się
w cielętniku. i były przez dłuższy czas zaniebane. W Jermaku jakiś
czas, po wyjściu ze szpitala, pracowała jako pomoc pielęgniarska w tym
szpitalu, w którym była, a potem w jakiejś szwalni." Nie wiem dokład-
nie co to było, ale jakąś pracę dostała, w której miała odpowiednie
zarobki i to przyczyniło się do polepszenia naszej sytuacji.

Wrócę jeszcze do okresu pobytu mojej matki w szpitalu w Pawło-
darze, ponieważ niektóre fakty podałam niedokładnie, a odtworzyłam je
z korespondencji. Zacznę od fragmentu listu mojej mamy do mojego
dziadka: "...." Jestem w szpitalu w Pawłodarze, ogolona do gołej skóry,
stara i brzydka; gdyby ktoś mnie teraz spotkał, poznałby tylko po głó-
sie.... Po wyjściu ze szpitala będę się starać o pracę i przeniesienie
wszystkich do Pawłodaru"....

Niestety, przeniesienie nas nie udało się, bo nie mogła mama zna-
leźć mieszkania. Pracowała w szpitalu jako pomoc pielęgniarska. Na
jakiś czas wróciła do nas, aby zastanowić się wspólnie z babcią i cio-
cią co dalej robić. Ponownie wróciła do Pawłodaru, a stamtąd wyjecha-
ła do Jermaku, aby starać się o jakieś urządzenie nas. Jeszcze było
parę złotych rzeczy do sprzedania; prawdopodobnie udało się mamie cos
spleniętyc i załatwić nieźle dla nas mieszkanie. W początkowym okre-
sie była nas czwórka z mamą. Mama dostała pracę w jakiejś szwalni.
Przychodziły paczki z Tarnopola, mieliśmy w tym okresie chleba pod
dostatkiem i byłby to okres najbardziej znośny w naszej 6-letniej tu-
łaczce, gdyby nie wypadek mamy. - pęknięcie miednicy /o którym była

już mowa/. Mama znalazła się w szpitalu w Jermaku. Jeszcze przed wypadkiem rozszarpał mamę pies lydkę, która paskudziła się okropnie. Następnym fragmentem listu mojej matki ze szpitala, z 30 maja 41 roku: "...” gdy wyzdrowieję, zgłoszę się jako inwalidka, bo ciągle na czworakach po schodach chodzę, po bardzo bolesnej reakcji po masażu. Może pęknięcie jeszcze się nie zalało? Za to rozdarcie od psa goi się cudownie po rivanolu... Pytasz mamę o Jermak: jest to duża wieś, ale też siedziba niezliczonych kantorów i też siedziba kaganowskiego powiatu. Do Pawłodaru ok. 30 km, codziennie jest tam okazja, ale źle urządzona jest przeprawa przez rzekę... Wypoczywam bardzo, szyję jak maszyna, przerabiam różne rzeczy. Uszyłam Jadwisi pantofelki ~~z~~ z woreczka od grochu. Chciałabym się też utrzymać, jak Janusia dostanie posadę. Napisałam podanie do jakiegoś protektora do Kijowa, gdzie pisała przedtem Pazurowa".... /to była nasza współtowarzyszka z cieleśnika/ ..." chcę napisać, że jestem kaleką na niektóre członki i żeby zwolnili Ryszarda mającego nas utrzymać. Módlcie się, ~~aby~~ byśmy przed zimą wrócili, choć ta zima może byłaby lepsza...

.... Cudowny dziś, słoneczny dzień i jakos jest weselej. Wczoraj co chwila były burze piaskowe, chłopcy szli tu pół godziny, gązies czekając pod drzewem. Stas teraz dobrze wygląda, Tadzio bardzo mizerny po przebytej malarii; obaj noszą orzełki na czapkach - Ryszarda. Tymi dniami wyjeżdżają zwolnione panie, ale ostatecznie nikt nie chciał brać nielegalnie Anusi, a podanie widocznie odrzucili, ale mam prawie pewność, że wrócimy wszyscy tego roku do domu. Mamus, uściskaj Nisię, chciałabym mieć blisko jej gorące serce. Fragnę bardzo, by Ona kiedyś przygotowywała Anusię do Pierwszej Komunii. Tymczasem, wszystkie dzieci są szalenie zaniedbane, pacierz mówią wieczorem tylko, wyją się bardzo rzadko, może gdy będę w domu zajmę się nimi!...

- Uzupełnię, że ciocia Nisia była siostrą mojego ojca, z którą mieszkaliśmy w Tarnopolu przed aresztowaniem ojca.

Gdy matka moja wróciła ze szpitala, była w ogromnej depresji. Mało się nami zajmowała, pracowała w jakiejs szwalni. Przyjechała wówczas do nas babcia z ciocią, mama czuła się jednak nie najlepiej. Była wycieńczona i coraz częstsze miewała depresje; przypuszczam, że niesprawność fizyczna komplikowała jej wiele spraw. Do czerwca, to znaczy do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, przychodziła dość regularnie korespondencja i paczki. Nagle wszystko się urwało. Rodzice mojej matki dostawali wrót listów, a paczek nie przyjmowano na pocztach w Polsce. Kontakt urwał się zupełnie. Paczeliśmy wszyscy tracić odporność. Zjadały nas woczy i zaczęły się częste biegunki. Tadzio osłabiony po przebytej malarii miał kłopoty z sercem /miał wrodzoną wadę serca/.

4
Prawdopodobnie w lipcu, kiedy przez Jermak zaczęły przejeżdżać transporty wojskowe przesiedlono nas do Jesilu. ^{Był to} Mieduże = osiedle, położone na zachód od Pawłodaru, paręset kilometrów, położony na wysokim płaskowyżu w pobliżu Iszymu - dopływu Irtyszu, ok. 6km od rzeki. na wschód. Przywieziono wówczas dość liczną grupę Polaków. Część mieszkała w wagonach, część natomiast w barakach na znacznie niżej położonym terenie zalewowym. Nas umieszczono w tzw. baraku ukraińskim - być może jacyś Ukraińcy przedtem tam mieszkali. W baraku prócz naszej 7-osobowej rodziny mieszkało 7 lub 8 rodzin, m.in. pani Wąsowska, chyba z córkami, starsza, niezwykle sympatyczna pani, która barażu często zajmowała się Jadwisią i podkarmiła ją czym mogła, gdy chodziła głodna, szukająca jedzenia. Była też pani Gierałtowska, żona oficera z Tarnopola, z synem Rysiem, który po jakichś przejściach w 39r. zwariował; miał wówczas 17 lub 18 lat. Chodził wciąż ze szmatą na kiju i śpiewał: "Jeszcze Polska nie zginęła!.."

Jesień w Jesilu przeszła jakos znośnie. Było sporo młodzieży w wieku od 12 do 14 lat, przeważnie chłopcy. Założono drużynę harcerską, której drużynowym był, zdaje się, Tadzio. Mielismy "Śpiewnik Patriotyczny"; z którego uczyliśmy się wszyscy i pisać i czytać i śpiewać i języka polskiego poprawnego...

Wiele osób pracowało w sowchozie, kilka kilometrów na południe od Jesila. Pracował tam też Tadzio i Staś. Ciocia Janusia była natomiast wciąż na tak zwanych rozjazdach: była to grupa kobiet, która pracowała przy budowie kolei. Wywożono taką grupę na dwa, trzy tygodnie, budowano tymczasowe baraki, które następnie rozbierano i przenoszono na następny odcinek. Prace te odbywały się między Jesilem a Kokczeta-wem i Jesilem a Atrasarem. Mama nasza z każdym dniem czuła się gorzej. Miewała często torsje żółciowe i bardzo źle chodziła kulejąc. Ja od czasu do czasu chodziłam też do sowchozu, trochę pomagałam, ale byłam za mała do pracy przy sniwach. Jechałam kiedyś z Tadzikiem na furze wyładowanej po brzegi sнопami zboża, które trzeba było odstawić do sowchozowych magazynów. Wóz zaprzęgnięty był w dwa małe koniki. Jechalismy prze step, jak się okazało - w pobliżu wilczych nor, a wilków było tam dużo. Dopadło nas kilka wilków, konie spłoszone urwały się, a wilki pobiegły za nimi. My, wtuleni w snopy, czekaliśmy na pomoc i gdy już się ściemniało, zabrano nas ze stepu.

Życie w Jesilu było coraz trudniejsze. Im bliżej ku zimie, tym mniej mielismy jedzenia. Była jednak spora grupa dzieci i młodzieży, umielismy zorganizować sobie wolny czas, pełen humoru i radości. Nasza najmłodsza - Jadwisia - pełna wzięku mała blondyneczka, uwielbiała zaglądać w każdy kącik i bawić się w "pomidora". Dużo śpiewalismy, głównie harcerskie i patriotyczne piosenki. Na szczęście nikt z tu-

byłców treści ich nie rozumiał, a więc kłopotu z tego powodu nie było. C "adeszła zima, zła i okrutna... mnostwo sniegu, mrozy dochodziły do -50°C . Nie mieliśmy się w co ubrać, ani co jeść. Parę osób umarło na ropne zapalenie płuc, które nazywaliśmy "odmrożeniem płuc". W baraku paliło się w "kozach". Do pracy w zimie nikt nie chodził, a kiedy byliśmy już tak głodni, że zjawiała się opuchlizna głodowa, mama zaczęła chodzić - nie wiem po jakich domach - i żebrać. Przynosiła czasem kilka nadgryzionych kawałków chleba, zamrożniętych na kość, które podpiekało się na kuzie i była wielka uczta. Nasze organizmy były coraz bardziej słabe i ciągle nękały nas biegunki. Piłismy wtedy suszony, a na wiosnę i w lecie świeży - piołun.)

Wiosna 42 r. była cudowna: gdy spłynęły wody roztopowe, step pokrywał się dywanami świeżej zielonej trawy i mnostwem kolorowych, głównie żółtych i czerwonych tulipanów. Pojawiło się ptactwo, wychodziły z nor różne zwierzątka, które za parę tygodni kryły się głęboko pod ziemią, aby ukryć się przed spiekotą, w czasie której temperatura dochodziła do $+60^{\circ}\text{C}$

Zaczęły się choroby. W naszym baraku wybuchła odra, ja przeszedłam ją bardzo ciężko, a zaczęła się od zapalenia płuc. Po mnie zachorowali Tadzio i Jadwisia. Nie było lekarstw ani pomocy szpitalnej - cudem wyszliśmy z tego. Organizmy były jednak coraz bardziej wyczerpane, toteż gdy w czerwcu wybuchła epidemia czerwonki, prawie wszyscy natychmiast byliśmy zarażeni, z wyjątkiem mego brata Stasia, który od dziecka był bardzo chory na płuca /jednak przez 6 lat naszego pobytu w kazachstanie ani razu poważnie nie chorował/.

Zaczęły się pogrzeby... Na małym cmentarzyku w pobliżu naszych baraków zaczęły przybywać bezimienne białe krzyże...

27 lipca 42 roku umiera nasza mała, dwu- i pół-letnia Jadwisia. 8-go sierpnia umiera babcia, a 17-go sierpnia - Tadzio. Na pogrzebie Tadzia cała drużyna harcerska zaspiewała: "W mogile ciemnej śpij na wieki"... - podobno tego sobie życzył przed śmiercią.]

... Przez kilka tygodni był pogrzeb za pogrzebem... upały były ogromne i step już zupełnie suchy... Mama była w ogromnej depresji, pamiętam, że całymi dniami gąsies chodziła, nie było jej w domu... nie wiem, co się z nią działo wtedy... potrafiła się całymi dniami, na przykład, do nikogo nie odzywać i miała ciągle dolegliwości z woreczkiem żółciowym lub z wątrobą /ciągle miała torsje/.

Na stepie zbieraliśmy "suchotki" z których robiliśmy małe wianuszki przy okazji każdego pogrzebu.

Od stycznia 1942 r. delegatura ambasady polskiej w Akmolinsku przyjmowała zapisy do tzw. Szkoły Junaków Armii Polskiej, organizowa-

nej w Buzuluku przez Andersa. Mama złożyła - jako pierwsze - papiery Tadzia, lecz odpowiedź przyszła już po jego śmierci. Poteż 28-go sierpnia mama pisze podanie w sprawie Stasia ^{dołączona} /treść tego podania.../. Niestety, okazało się, że jest już za późno i podanie nawet nie zostało wysłane. - już wszyscy z Akmolińska wyszli...

Nie pamiętam w którym miesiącu spadł olbrzymi deszcz, szalała burza z ogromnymi wyładowaniami. Kiedy przestało padać, ukazała się na niebie przepiękna tęcza - szeroka, wyraźna i obejmująca pełne półkole. Niestety, parę godzin potem wyłał Iszym, woda w tempie nieprawdopodobnym zbliżała się ku nam. W pośpiechu wynosiliśmy się z baraków drewnianych. Woda z wielkim szumem doszła do skarpy. Powstało wielkie jezioro, a baraki rozleciały się jak pudełka od zapalek. Umieszczono nas w chatkach kazachskich. Było to znacznie prostsze niż w ziemie po cieleńniku, bo gdy tylko wysychały stepy po roztopach, Kazachowie całymi rodzinami koczowali na stepie.

Zbliżała się jesień. Gdy zaczynała się szarówka, zaczęliśmy całymi grupami chodzić na pola kawonowo-melonowe i kartofliska i - po prostu - krasć. Wracało się w ciemnościach, z duszą na ramieniu, żeby wilki nie opadły. Wielokrotnie słyhać było ich wycie, ale nigdy nie zdarzyło się nam spotkać z nimi, podczas tych wędrówek. Późną jesienią przeniesiono nas do Atbasaru. Był to duży węzeł kolejowy, między Jesilem a Akmolińskiem /obecnie Celinogradem/. Przy każdym przesiedleniu skład grupy był zupełnie inny; starano się bardzo o to, by nas ciągle rozdzielać i mieszać z innymi ludźmi. W Atbasarze trafiamy do baraku-ziemianki, położonego w pobliżu tzw. DEPO, czyli zajezdni - hali remontowej parowozów i wagonów. Był to długi barak, z klepiskiem, małymi okienkami przy samym dachu, piec posrodku z dużą płytą i mnóstwo pryczy jednopoziomowych, tzw. parterowych. Jest nas tu ok. 10 rodzin. Był to tzw. Atbasar-Stacja, w odróżnieniu od Atbasaru-Miasta, oddalonego o 5 km na południowy-wschód. Wszyscy powyżej 12 lat pracują w DEPO i przy budowie linii kolejowej dla Zagłębia Karagandy. Praca nieludzko ciężka. Kobiety też pracują przy budowie domów nosząc cegły na specjalnych drewnianych nosidłach - na plecach, przy czym musiała być wyrabiana norma.

Zima jest znów bardzo ciężka, ale mieszkamy obok DEPO, gdzie leżą całe hałdy węgla. Ponieważ ja i Stas jesteśmy najmłodsi w baraku, a więc prawie wszyscy poza nami pracują, chodzimy we dwójkę krasć węgiel. Szczęście jednak sprzyjało nam do czasu. Pewnego dnia jest kłapanka, ja uciekam z pełnym workiem na plecach, Stasia złapano... Trzymają go wiele godzin lub nawet dni /nie pamiętam/ w oddziale NKWD. Nigdy jednak nie opowiedział nam o tym swoim pobycie - tam. Był zawsze dzielny, odważny i pełen pomysłów. Potrafił wszystko znieść, nie po-

kazując tego po sobie.

[Lato 1943 r. - jak zwykle upalne i pełne pożarów stepu. Którys z pożarów miał tak wielki zasięg, że kazano wszystkim, komu udało oderwać się od pracy, kopać szerokie ale płytkie rowy, aby odciąć możliwość przejścia ognia na osiedle....

Znów epidemia czerwonki, tyfusu brzuszego i malarii, a także jaglicy, która doprowadzała nawet do utraty wzroku. Przeszłam ją nieco później... Znów mnóstwo zgonów i pogrzebów. Głód dokuczał okrutnie. Część osób zdolnych do pracy wywożą na rozjazdy.

(Następna zima jest tragiczna. Osoby pracujące dostają fufajki i walonki, ale dzieci zupełnie nie mają się w co ubrać. Nasza matka, wycieńczona i kulawa... Pewnego razu skończyło się jej zwolnienie lekarskie, ale w dalszym ciągu na biegunkę i nie może iść do pracy. Po paru dniach gdy zgłasza się ^{do pracy} nie mając usprawiedliwienia - jest zbita i skopana... Ma uszkodzoną nogę i obrażenia wewnętrzne. Była to połowa grudnia 1943. Zabierają mamę do szpitala w Atbasarze-Miescie. Z 24-go na 25 grudnia w szpitalu mama umiera; Stas był jeszcze w przeddzień w szpitalu, ja już nie poszłam, ponieważ nie miałam się w co ubrać. 25-go grudnia ciocia poszła i przyniosła już tylko supełek rzeczy...)

.... Przypuszczam, że pobicie mojej mamy spowodowane było jakimś specjalnym zachowaniem mojej mamy. Wiem, że podjęła takie postanowienie, że oficjalnie nie będzie nigdy w życiu - będąc na Syberii - rozmawiać po rosyjsku. Przypuszczam, że musiało to doprowadzić do niesłychanej złości tych ludzi, z którymi moja mama pracowała i dlatego może doszło do tego pobicia, które skończyło się śmiercią. Była też jeszcze jedna przyczyna: otóż w naszych żyłach płynęła krew ormiańska, mama miała w ryśach dużo cech wschodnich i Rosjanie uważali, że mama moja jest Żydówką. Z tego powodu było też dużo nieprzyjemności, scysji między mamą a różnymi nadzorującymi Rosjanami...

Wracając do śmierci mamy: (Były wówczas ogromne śniegi, trudności poruszania się, a trzeba było iść do szpitala, odebrać mamę i zorganizować jakiś pogrzeb. Ktos nam zrobił trumnę, taką zwykłą skrzynkę ze starych desek, znalazła się też jakas furmanka z koźmi, z baraku pożyczono nam ubranie i poszliśmy do szpitala. Pokazano nam szopę, w której były złożone zwłoki zmarłych. Mielismy tam znaleźć w wielkim stosie zamarzniętych ciał ^{moją} matkę... Razem z ciocią owinęliśmy w kawałek przescieradła umęczone i wychudzone zwłoki naszej matki... Na cmentarzu, odległym o kilkaset metrów od szpitala, wykopany był grób, gdzie pochowaliśmy mamę) W tym smutnym pogrzebie było nas dwoje, ciocia i pani Samborowa /do której jeszcze wrócę/. Zostaliśmy z ciocią...

8

Na początku lub w połowie stycznia zerwała się burza śnieżna - buran. Przez kilka dni nie ruszaliśmy się z baraku, bo nie można było wyjść. Ciocia jednak, po jakimś czasie, zaczęła wychodzić - nie wiem, czy w poszukiwaniu jakiegos zaopatrzenia, czy załatwiała jakies sprawy, w każdym razie - zaziębiła się, dostała zapalenia płuc, tak zwanego odmrożenia. Po jakimś czasie znalazła się w szpitalu, nie pamiętam, jak długo tam leżała... Nie chodziliśmy do szpitala... Pod koniec lutego zawiadomiono nas, że ciocia zmarła i została pochowana. Pokazano nam jakiś grób, ale czy to był jej grób - nie wiadomo. Poszliśmy na cmentarz i znaleźliśmy sobie wtedy sprawę, że zostaliśmy całkiem sami. Wróciliśmy do baraku i zaczęliśmy się zastanawiać co mamy dalej z sobą robić. [Następnego dnia przyszła do nas pani Maria Samborowa. Mieszkała ona ze swoim mężem Ignacym w jednym z baraków, w tzw. pałatce; był to drewniany baraczek, usytuowany w górnej części Atbasaru. Pani Samborowa miała jeszcze dwóch synów, którym jednak udało się wyjść z Andersem, została więc sama z mężem. Pani Maria zaproponowała nam, że zabierze nas do siebie. Zgodziliśmy się na to bardzo chętnie, byliśmy szczęśliwi, że nie będziemy już sami. Przeprowadziliśmy się do baraku pani Marii. Urządzono nam wąską małą pryczę w kącie baraku, na której z trudem mieszciliśmy się we dwoje. Było nam tam dobrze, jeśli to tak można nazwać... Wszyscy okazywali nam dużo serca i troskliwości. Pani Maria była niezwykle dobrą osobą, starała się nam, jak mogła, zorganizować życie, żebyśmy się czuli dobrze.

Po pewnym czasie zachorował mąż p. Marii na tzw. rozsiany skorbut. Choroba ta była tam zwana cyngą. 4 dnia na dzień stan się pogarszał, wyniszczenie organizmu postępowało w tak strasznym tempie, że było to coś nieprawdopodobnego. Choroba ta wyglądała jak trąd: ciało rozkładało się i kawałkami zostawało na pościeli, były to straszliwe męczarnie. Trwało to jednak dość długo. 21 maja pan Sambor zmarł.] Pochowaliśmy go na tym samym cmentarzu, gdzie leżała moja mama i ciocia - był to jedyny cmentarz rosyjski. Kazachowie mieli swój cmentarz w innym miejscu i wyglądał on zupełnie inaczej: były to kupki ziemi, w których tkwiły słupki. Na tym cmentarzu odbywały się raz w roku - widocznie było to jakies ich święto zmarłych - wielkie uroczystości, które polegały na znoszeniu jedzenia i tam urządzano jakies obrzędy.

... [Przez cały 6-letni okres pobytu w Kazachstanie nie mieliśmy szczęścia spotkać ani żadnego księdza, ani żadnej zakonnicy. Jak się okazało potem, bardzo niedaleko nas był ksiądz Fedeusz Fedorowicz, którego nie mieliśmy szczęścia nigdy tam spotkać.]

[Po śmierci pana Sambora zaczęliśmy sobie w trójkę organizować życie. Odebrano nam dokumenty naszej mamy. Nie mieliśmy właściwie żadnego

9
go dowodu tożsamości. Postanowiliśmy razem, że Stas zacznie się starać o pracę. Sfałszował więc sobie rok urodzenia, ponieważ do pracy przyjmowane były dzieci powyżej 12 lat, a Stas miał wtedy 11. Wypisał jakieś oświadczenie, w którym podał fałszywą datę urodzenia. Przyjęto go do pracy. Ja w dalszym ciągu byłam w domu. Stas pracował początkowo przy budowie ambulatorium, jak długo - nie pamiętam. Kiedy budowa zbliżała się do końca, przeniesiono go do pracy w DEFCO. Tam nauczył się spawalnictwa, był spawaczem. Była to niesłychanie ciężka praca i bardzo niezdrowa, ponieważ nie było należytego zabezpieczenia, które chroniłoby oczy. Wracając więc Stas ^{całkiem} mówiło się wtedy, że "nałapał zajączków" - bardzo chory; wskutek braku ochrony oczu następowało silne zapalenie oczu /spojówek?/ i Stas prawie przez parę dni nie widział. Przykładało mu się kompresy i jakos powoli doprowadzany był do normalnego stanu. i znowu szedł do pracy.

Do tego okresu żadnej nauki nie pamiętam, nikt z dzieci się nie uczył, raczej większość pracowała. Czy były jakieś propozycje na ten temat - nie pamiętam, w każdym razie w szkole nie uczyliśmy się. Pani Maria starała się uczyć nas pisać, czytać, Stas już trochę umiał, ja - nie. Uczyliśmy się na jakichś książkach zbieranych ^{od} ludzi, pisaliśmy na starych gazetach, na skrawkach drewna, dykty, lub po prostu na murze, czy podłodze.] 10 kas.

Stasia w jakimś momencie oddelegowano do przewożenia materiałów budowlanych, nauczono go prowadzić traktor i - był traktorzystą. Stas był bardzo pojętym chłopcem, bardzo szybko wszystkiego się uczył. Przy tym był szalenie lubiany przez Kazachów, nawet przez Rosjan z nim pracujących, był zawsze wesoły, pełen humoru i pełen niezwykłych pomysłów. Kiedy była jakas ciężka sytuacja, Stas zawsze starał się ją jakoś rozładowywać - w bardzo prosty sposób.

[Ja też zaczęłam pracować, oczywiście nieoficjalnie. Przez jakiś kontakt dostałam się do stołówki pracowniczej dla Rosjan. Zmywałam tam naczynia i za tę pracę, która trwała od świtu prawie do wieczora, dostawałam miseczkę kaszy, w której była ^{Tylko} wyżłobiona - śmiesznie - ~~była~~ dziurka i w nią wlana odrobina oleju. Nie zjadałam tej kaszy - przynosiłam ją zawsze wieczorem do domu, żeby ją zjeść razem ze Stasiem. Stas zresztą robił to samo; dostawał jakieś przydziały chleba, czy innych produktów, trzymał je przez cały dzień, żeby wieczorem razem to zjeść. Pamiętam, że kiedyś przyjechało jakieś bardzo ważne "naczalstwo", był uroczysty obiad w stołówce i upieczone były ciasteczka, - posypane cukrem, którego myśmy nie widzieli na oczy przez bardzo, bardzo długi czas. Dostałam 5 ciasteczek, pamiętam dokładnie, że było ich pięć... niestety, tym razem, moje łakomstwo było tak wielkie, że do domu doniosłam tylko dwa, - trzy zjadłam /miałam wtedy 11 lat/.]

... Cukier jeszcze pamiętam z Pawłodaru i Jermaku, być może przychodził w paczkach, może można było kupić - tego nie pamiętam, ale już w Jesilu cukru nie mieliśmy. Nie mieliśmy też przez długi czas soli, dopiero w Atbasarze można ją było dostać.

Moja praca w stołówce trwała jakiś czas. Mięso do stołówki dostarczane było z jakiegoś hodowli świń, a przez Atbasar przechodził często transport tzw. makuchów. Część tych makuchów zostawiano w stołówce - do jedzenia, a resztę wywożono do tej hodowli świń. Czasem udawało mi się dostać z fury parę kawałków makuchów; jeśli były ze słonaczników, to były bardzo dobre, słodkie i była to dla nas wielka ucztą. Niektóre jednak były z rzepaku lub z czegoś innego - okropnie gorzkie, i chociaż były bardzo pożywne, to jednak trudne do przełknięcia. Tym niemniej, te makuchy przynosiłam do domu, jak tylko się dało, bo mogliśmy nimi zaspokoić jakos swój bardzo duży głód.

Po pewnym czasie skończyła się moja praca - odmówiono mi przychodzenia do pracy /nie wiem dlaczego/. Ktos mi załatwił pracę u jakiegoś Rosjanki, u której prałam. Chodziłam tam przez miesiąc, może dwa... Rosjanka ta była prawdopodobnie żoną jednego z naczelników pracujących w DEPO. ~~Była dla mnie sympatyczna~~. Przeszłam razem z nią wielką tragedię - jej kilkuniesięczny synek zlapał kiedyś jak butelkę z jakimś kwasem i wypił go - po paru ~~x~~ dniach, w strasznych męczarniach, dziecko umarło. Po tym fakcie, jakiś czas jeszcze pracowałam u tej kobiety - okazywała mi dużo serca i starała się zaopatrzyć w produkty żywnościowe, w tajemnicy przed mężem. Ale i ta praca się niedługo skończyła.

Wynajdywałam sobie w baraku różne zajęcia. Jednym z głównych moich obowiązków było zaopatrywanie baraku w wodę, z którą były ogromne trudności. Trzeba było chodzić - mnie zdawało się, że parę kilometrów - do rzeki, być może było to tylko paręset metrów. Rzeka nazywała się Czalaabajka /niewielki dopływ Iszumu/ i płynęła w wielkim wąwozie, w zboczach którego odkrywały się warstwy gliny kolorowych ilów /glinek?/. Te glinki były dla nas bardzo cenne, bo używaliśmy ich jako mydła - doskonale się w nich prało, nawet brudne, zatłuszczone ubrania Stasia. Robiliśmy także z tej glinki brykieciki, których używaliśmy w domu do mycia się. Noszenie wody - to był dla mnie wielki problem: byłam niewyrosnięta, wiadra były bardzo wysokie /to były takie ruloniki, które nosiło się na nosidłach drewnianych z druciabyni zaczepami: nazywały się tam koromysłami/. Przyczepiałam sobie do drucików te dwa wielkie wiadra, które zwykle ciągnęłam po ziemi, nabierałam na początku pełne wiadra wody, ale nim doszłam do domu, to po drodze musiałam wylewać po trochu, bo nie mogłam ich donieść. Kiedyś wydarzył mi się bardzo przykry wypadek - była to wówczas dla mnie wielka tragedia :

udało mi się ~~xxx~~ prawie pełne wiadra donieść blisko domu, potknęłam się i cała woda się wylała. Pamiętam, że przez długi czas siedziałam w kałuży tej wody i zalewałam się łzami. W zimie oczywiście nie było problemu, bo topiło się śnieg, czasem bardzo brudny, zakurzony, bo był to jednak ośrodek przemysłowy? - zanieczyszczający powietrze.

Baraczek, w którym mieszkaliśmy, czyli tzw. pałatka, był usytuowany przy samym kantorze, którego w nocy pilnowało dwóch Kazachów. Do kantoru przywożono wodę w beczkach i po nawiązaniu miłych kontaktów z tymi Kazachami^{mi} pozwolono nam nabierać - w nocy - wodę z beczek. Kazacznowie ci okazywali nam bardzo dużo czułości - wręcz czułości. Nocami, gdy była pełna księżycy, słyszeliśmy modły tych Kazachów, którzy wielkim, gromkim głosem zawodzili: Alla^h, bisma-Allah...

Nie wspominałam jeszcze o łaźni, czyli tzw. bani, która w większych slupiódkach ludzi po prostu była koniecznością. Często chodziliśmy, sami, lub byliśmy do tego zmuszenia - w celu odwszenia. W bani były wielkie komory /elektrycznie podgrzewane/, w których wieszano się na specjalnych, śmiesznych haczykach swoje ubrania i po pewnym czasie "wysmażone" i gorące odbieraliśmy je. Bywało i tak, że wszy się nie zesmażyły wszystkie, ale przynajmniej większa ich część ginęła. Przy okazji czyszczenia odzieży zawsze mieliśmy możliwość wykąpania się. Kąpiel wyglądała ~~wkawkawu~~ tak, że z kranów nalewało się wodę do drewnianych dziełek, każdy dostawał swoją porcję wody i w tym się mogliśmy wymyć. Mydła nie dostawaliśmy, przynosiliśmy swoją glinę i jakieś szmatki, bo o ręcznikach już nie było mowy...

[w lecie 1944 r. zaczęło się mnóstwo różnych chorób, była również epidemia jaglicy, którą ja niestety złapałam. Choroba ta rozwijała się tygodniami, aż doszło do tego, że przestałam widzieć - Było to ropne zapalenie spojówek, które atakowało nawet części twarzy. Dostałam się do ambulatorium przyszpitalnego w Atbasarze-Miescie, tam gdzie zmarła nasza mama. Pamiętam, że zabieg robiła mi nłoda Gruzinka-lekarka, która, jak się później okazało, była jakąś wybitną indywidualnością i została zabrana do Moskwy. Zabieg ten polegał na wyciskaniu ropni od wewnętrznej części spojówek i robiła mi to oczywiście "na żywo" - bez żadnego znieczulenia. Pamiętam, że przy tym zabiegu okropnie krzyczałam, a Stas biedny siedział skulony pod drzwiami i przeżywał to chyba gorzej ode mnie.

Po tym zabiegu wróciłam do baraku. Pani Maria leczyła mnie jak mogła, przykładając okłady z różnych ziół i po pewnym czasie zaczęłam normalnie widzieć. [jesieni tego samego roku zaraziłam się malarią, przeszłam ją bardzo ciężko, zdaje się, że byłam na granicy śmierci. Pani Maria zdobyła spod ziemi trochę chininy w proszku, robiła mi takie małe kuleczki z chleba i ten proszek ~~xx~~ zawinięty w chleb żykałam.]

Nie pamiętam, jak długo byłam chora, ale jakos wygrzebałam się z tego.

W naszym baraku mieszkało ok. ~~10~~ podzin siedmiu, wśród nich - dwie Rosjanki: Irina /nie pamiętam nazwiska/- matka 23-ga dzieci, z czego żyło pięcioro i mieszkało z nami w baraku; była to szalenie prymitywna osoba, a dwoje z tych dzieci było nienormalnych. Mieszkała tam również Helena Jakowlewna z synem Eugeniuszem /Geniem/ - w wieku Stasia i pracował razem z nim w DEFO, jako elektryk. Helena była ~~nie~~ kobietą niezwyklej urody, o bardzo szlachetnych rysach, była córką białogwardzisty, który został rozstrzelany, mąż jej natomiast był w łagrze, a ona zesłana. Nie pamiętam jak długo była na zesłaniu, ale było to już wiele lat. Helena była niesłychanie inteligentną, kulturalną osobą, znającą języki obce, z zawodu - nauczycielka. Miała ona ~~nie~~ maszynę do szycia i obszywała żony różnych naczelników, dzięki czemu życie układało się jej możliwie. Z maszyny tej korzystała również pani Maria, która przerabiała nam różne różne rzeczy, żebyśmy się mieli w co ubrać. Zdaje się, że w pewnym okresie szyła też dla ~~jednej~~ żony jakiegoś naczelnika.

Jedno ze wspomnień z Jesila: wśród zjawisk przyrodniczych, które czasem były bardzo piękne i dawały nam dużo odprężenia psychicznego, mieliśmy możność oglądać, chyba ze Stasiem, zjawisko fata-morgany: znaleźliśmy się na stepie ~~przy spożywalnej okazji~~, i w pewnym momencie w drgającym powietrzu, jak gdyby za mgłą, zobaczyliśmy sylwetki poruszających się ludzi i domy. Była to tzw. fata-morgana prosta, w odróżnieniu od odwróconej. Było to zjawisko niesłychane; jak się okazało widzieliśmy osiedle kazacnskie oddalone, o kilkanascie kilometrów.

Przez Jesil przepływała niewielka rzeczka, w której była niezwykle czysta woda i pełno raków. Było to już po śmierci naszego rodzeństwa i babci; chodziliśmy ze Stasiem łapać te raki /oczywiście Stas łapał/ i ustawiliśmy beczkę na jakichś gwoździach, którymi zdaje się przybijano się podkłady do torów, rozpalaliśmy ognisko i w dużej ilości wody gotowaliśmy te biedne raki, a następnie całymi workami sprzedawaliśmy je. Była to dla nas duża pomoc, bo za zarobione pieniądze mogliśmy kupić trochę żywności.

W Atbasarze również handlowaliśmy ze Stasiem, który przy swoich rozmaitych dużych uzdolnieniach robił m.in. pajacyki z drewna, które ja malowałam kolorowymi glinkami /wydobywanymi ze skarpy rzecznej/. W niedzielę chodziliśmy na bazar do Atbasaru-Miasta i sprzedawaliśmy te pajacyki. Poza nimi sprzedawaliśmy również suszone ziarna słonecznika, tak zwane siemeczki. Słoneczniki zbieraliśmy na wiosnę na ogromnych plantacjach /polach/. Przed zbiorami, jesienią, ziarna wysypywały się i zostawały pod śniegiem, zbieraliśmy je, myli, suszyli, ~~z~~ podsmażali na naszej kuchni barakowej i na tzw. stakańczyki, czyli szkla-

neczki, sprzedawaliśmy na bazarze. Po takim dniu handlowym przynosiliśmy czasem spory kawałek chleba, trochę mąki i kumys, który nam bardzo zasmakował.

Na jesieni chodziliśmy z p. Marią i z wieloma innymi paniami z baraku, tak jak w Jesilu - wieczorami - na pola kartoflane i kawono-melonowe; były to tam owoce niezwykle soczyste i podobno o niezwykłym smaku, /czego ja już nie pamiętam/ dzięki wielkiemu nasłonecznieniu, którego wymagają. W Atbasarze nasze kradzieże dotyczyły już tylko żywności, ponieważ Stas - jako pracujący - dostawał swój przydział węgla, więc nie musieliśmy go już krasć. Niedaleko baraku była mała piekarnia, która wypiekała chleb, m.in. dla wojska idącego na front. /chleb był prawdopodobnie dostarczany do większych miejscowości, przez które wojsko przejeżdżało/. Przez wiele tygodni chodziłam ja z różnymi dziećmi, czasem też ze Stasiem, pod piekarnię i czasem udawało się nam dostać korbę spieczonych, obramanych resztek chleba; z wielką radością przynosiliśmy to do domu. Niestety, różni ludzie tam pracowali i często się zdarzało, że byliśmy pobici. Kiedyś i ja oberwałam po plecach takim nahażem i później przez długi czas nie mogłam się ruszać. Pani Maria przykładła mi okłady - były to rany cięte - do krwi. Po tym wypadku postanowiliśmy, że już więcej tam chodzić nie będziemy.

~~W tym czasie była nowa siłownia... nadziedział nasz, w którym ogłoszono koniec wojny.~~

[Na jesieni, na stację przyjechał olbrzymi transport ludzi wyładowany ludźmi z dwóch plemion pochodzących z Kaukazu: Czeczeńców i Ingusów. Były to plemiona mieszkające w wysokich strefach górskich, niezwykle urody, wysocy, szczupli. Podobno bardzo wojowniczo przywieźli ze sobą olbrzymie zapasy kukurydzy, która była ich podstawowym wyżywieniem. Przy wyładowywaniu ich z bydłowych wagonów, w których jechali - tak jak my, rozprawiano im worki z kukurydzą - była to wielka dla nich tragedia. Kukurydza ta ~~leżała~~ ^{leżała} całymi dniami rozsypana na ziemi przy stacji, pilnowana przez Rosjan; nie wolno jej było zbierać i nikt z niej oczywiście nie korzystał. Ciężka zima z 44/45 roku była dla prawie wszystkich z tych plemion właściwie ostatnią - pierwszą /w Kazachstanie/ i ostatnią. Nie przetrzymywali oni chorób, na które natychmiast zapadali i nie wytrzymywali klimatu. Na wiosnę, kiedy topniał śnieg, całe masy trupów Czeczeńców i Ingusów spływały razem z wodą. Były tam całe rodziny, ale przeważali mężczyźni. Wydaje mi się, że kiedy w maju 45 roku ogłoszono koniec wojny, została ich już tylko niewielka garstka - pojedyncze osoby. Wyginęli prawie wszyscy, przynajmniej w naszym rejonie, bo wiem, że wyroczono ich również w inne rejony. Mówiło się /na podstawie rozmów prowadzonych z tymi ludźmi/, o powstaniu, które było na Kaukazie, o tym, że bardzo wielką ilość ich wymordowano, a tych, których

14 złapano^o wywieziono na Syberię.]

[Na wiosnę 45 roku, po przebytych niedawno chorobach byłam w bardzo złej formie zdrowotnej, pani Maria zgodziła się więc na zabranie mnie do sierocińca.] Powiedziałam - "zgodziła się", gdyż, jak mi się wydaje, przeprowadzonych było wiele rozmów z wysłannikiem sierocińca - już dawniej. Ta decyzja musiała zapasć pod koniec kwietnia, gdyż ~~1-go~~ 1-go lub 2-go maja znalazłam się w sierocińcu. Mój Boże, gdyby parę dni później, już by może mnie to ominęło. Widocznie jednak było takie moje przeznaczenie.

Sierociniec był polski, w Atbasarze-Miescie. Kierowniczką była Wanda Kamińska, Żydówka, bardzo blisko współpracująca z Wandą Wasilewską, która działała w Moskwie. Personel składał się z 4 osób, w tym 3 wychowawczyń i jednej lekarki, były też dwie panie zajmujące się administracją oraz 2 lub 3 - zajmujące się gospodarstwem. Poza lekarką i wychowawczyniami, pozostałe osoby były dochodzące. Dzieci było 111 włącznie ze mną, od 2 do 15 lat, tylko, jak sobie przypominam, jedna dziewczynka była 16-letnia. Większość z nas była w wieku od 7 do 12 lat. i większość dziewczynek. Pierwsze moje wrażenie po przybyciu do sierocińca było pozytywne: dostałam ładne, nowe ubranie i swoje własne półbuciki. Dzieci przyjęły mnie serdecznie. Dom i całe obejście wyglądało schludnie; był to dom piętrowy, murowano-drewniany, z bardzo wysokim parterem. W piwnicznej części - część gospodarza z kuchnią, pomieszczeniem jadalnym i umywalnią. W podwórzu stał mały parterowy domek, gdzie mieszkała pani Kamińska i doktor Zosia i gdzie również znajdowały się dwie separátky i pokój lekarski. Trzecim budynkiem była długa szopa, w której w lecie odbywały się różne nasze zajęcia. Całość otoczona była wysokim kamiennym murem z bramą i furtką szczelnie zamykaną. Wśród dzieci była grupa, których matki chorowały lub znajdowały się w więzieniu.

9-go maja ogłoszono koniec wojny. Cały sierociniec wziął udział w capstrzyku, który odbył się na jakimś placu w środku miasteczka. Były tańce i śpiewy, był potem obiad, który składał się z dwóch dań /i pewnie dlatego utkwil mi w pamięci/, a wieczorem duża kromka chleba z porcją margaryny, czego od wielu miesięcy nie widziałam na oczy. Tak zaczęło się moje życie w sierocińcu... pełne nadziei, która szybko prysnęła. [Dzieci podzielone były na trzy grupy: najmłodsze - do 7 lat, od 7 do 10 lat i od 10 do 15. Najstarsza grupa przeznaczona była do najcięższych prac, a więc prania, sprzątania, pomocy w kuchni. Sezonowo pracowaliśmy również w kolchozie przy sadzeniu, podsypywaniu i kopaniu kartofli. Część grupy drugiej i trzeciej chodziła do szkoły rosyjskiej. Część z nas przyszła do sierocińca ~~wadkaniam~~ ^{już po rozpoczęciu} roku szkolnego lub tak jak ja, pod koniec nauki - czekaliśmy więc do jesieni. Niedaleko sierocińca była też sala kinowa. Zabierano tam dość często młodsze

Z trzeciej grupy, czyli z naszej, chyba nikt nie chodził - wszyscy wiedzieliśmy, że do rosyjskiego kina chodzić się nie powinno. Oczywiście dobrze to nie było widziane, toteż dawano to nam odczuć w inny sposób: w pracach polowych, gdzie była dość ostra dyscyplina. Mielismy też zespół tańca i grupę gimnastyczną. Przygotowywaliśmy się do jakichś występów na wielką uroczystość w dużym mieście. - jak nam mówiono. Jak się potem okazało - w jesieni - zawieziono nas do Alnolińska i tam był wielki pokaz różnych sierocińców; być może, że było to święto "ewolucji, nie pamiętam.)

Że Stasiem i panią Marią widywałam się rzadko - nam nie wolno było opuszczać sierocińca, a Stasiowi pozwalano jedynie od czasu do czasu przychodzić. Brak tego kontaktu odczuwałam coraz bardziej, toteż przy kolejnym widzeniu się ze Stasiem, ustaliliśmy, że w określone dni w określonych godzinach Stas będzie przychodził pod okno i za pomocą sznurka będziemy posyłać sobie karteczki. Ja - dzięki p. Marii - już umiałam pisać.

[W trzeciej grupie było nas ok. dwudziestki, w tym czwórka tzw. zbuntowanych dzieci. Był to Jurek, Andrzej, Elżbieta i ja. Otóż lubiliśmy stawiać opór przy różnych poleceniach, ^{potem} kary zdarzały się nam dość często np. nie dostawaliśmy kolacji lub musieliśmy przepracować dwa dyżury - jeden po drugim. Jedną z kar była jednak najbardziej dotkliwa /Andrzej leżał wtedy w separacie, więc jemu się upiekło/ - naszej trójce kazano obrać i pokroić worek cebuli. Długie godziny to trwało, a oczy coraz bardziej puchły, w dodatku moje oczy były po przebytej jaglicy i operacji

W środku lata wyjechalismy na kolejne podsypywanie kartofli. Wywożono nas samochodem na cały dzień, a późnym popołudniem - zabierano z powrotem. Obok pola stała nieduża szopa, gdzie w wiadrach była woda do picia, a nad piecem wisiał wielki kocioł, w którym gotowano nam obiad. Była to najczęściej zupa z lebiody zasypywana kaszą jaglaną, do tego - po kawałku chleba. Przerwa obiadowa zwykle była w samo południe, kiedy największy upał dokuczał. Tego dnia temperatura dochodziła do 50°C. Praca była bardzo ciężka i zaczęły się omdlenia, a trójka z nas dostała silnego udaru słonecznego: mieliśmy krwotok, ^{ty} i wystąpiła wysoka gorączka. Co się działo potem, nie pamiętam.] Wiem, że był wielki bunt dzieci. Nas położono w separacie, gdzie przez jakiś czas zajmowała się nami troskliwie doktor Zosia. Jurek był pecnowcem, a do tego ciągle chodził głodny. - nikt z nas nie był najedzony do syta, ale nie odczuwalismy tego tak dotkliwie jak Jurek. Wpadł on kiedyś na pomysł, którego nikt z nas nie zagodził słysząc do końca życia: otóż staliśmy przy wychodku, w którym, gdy tylko ciepło się zrobiło, klębiło się robactwo.

któryś z chłopców zażartował: "kto zje chociaż jedno takie świnstwo - dostanie moją porcję chleba na kolację". Oczywiście ciągle głodny Jurek zanurzył w kloace patyk i wyciągnął ogromną cuchnącą glizdę i zjadł. ... Jurek, jak wspominałam, był pechowcem, ciągle mu się coś przydarzało. Kiedys np. usiadł na jakimś gnieździe kleszczy, których na stepie i bez gniazda było sporo. Kleszcze zaatakowały mu wszystkie najbardziej delikatne miejsca, że o mały włos przykre się to nie skończyło.

Zbliżała się jesień. Grupę dzieci, która jeszcze do szkoły nie chodziła zaczęto przygotowywać do nauki. Po uroczystym początku roku zaczęły się lekcje. - raz rano, raz po południu. Pewnego popołudnia szliśmy w parę dziewczynek i zaczęli nas łapać rosyjscy chłopcy. Nasi chłopcy idący z tyłu zorientowali się i zaczęła się bijatyka. Następnego dnia cała grupa rosyjskich dzieci z kastetami na dłoniach czekała na nas. Gdy wyszliśmy ze szkoły napadli na naszych chłopców, którzy pilnowali nas dokładnie. Nasi pobici zostali tak dotkliwie, że w separatkach zabrakło miejsca. Jurek - nasz pechowiec - miał wstrząs mózgu i uszkodzoną kość czaszki. W tym okresie, który o mały włos tragicznie się nie skończył, przestaliśmy chodzić do szkoły. Chodziły jedynie najmłodsze dzieci... Tak się skończyła moja edukacja w rosyjskiej szkole, która trwała zaledwie parę tygodni. /To nie była decyzja władz, ale naszego oporu/...

Nadeszła zima, jak zwykle spadło mnóstwo śniegu, temperatura była coraz niższa, a w dzień trzeba było korzystać z wychodka stojącego na mrozie, toteż bardzo prędko zaczynały się kłopoty związane z zapaleniem pęcherza. Od czasu do czasu, rano lub wieczorem, przed spaniem odbywały się kontrole rąbek. Niestety, któregoś wieczoru okazało się, że moje łóżko jest niewyschnięte. Za karę kazano mi klęczeć ^{obok} ~~na~~ łóżka, dopóki nie wyschnie. Owinęłam się więc w koc i tak klęczałam do samego rana. To była najdłuższa noc w moim życiu, którą przetrwać mogłam tylko dzięki wspomnieniom z Turówki: stawały mi przed oczami wszystkie najprzyjemniejsze chwile z mojego dzieciństwa, w rodzinnym domu, zimowe kuligi i letnie majówki, wspaniałe zjazdy rodzinne, a nawet te mniej sympatyczne momenty, kiedy np. moi bracia wrzucali mnie dół kałuży po deszczu, bo im przeszkadzałam w chłopięcych zabawach....

Coraz częściej marzyłam o opuszczeniu tego miejsca - tego okropnego sierocińca. Przed świętami Bożego Narodzenia poszłam na rozmowę do następczej kierowniczkii p. Wandy Kamińskiej, z prośbą, bym mogła na Święta pójść do brata, bo nie wyobrażam sobie świąt bez niego. Dostałam kategorię odmowę. /musiała to być połowa grudnia/. Przy pierwszym widzeniu się ze Stasiem opowiedziałam mu o moim niepowodzeniu. Stas zawsze uważał, że nie ma sytuacji bez wyjścia, kazał mi cierpliwie czekać i nie martwić się, a on napewno coś wymyśli. Za parę dni Stas przyniósł mi plan uciecz-

17
ki z sierocińca. Plan został dokładnie rozpracowany i zrobione próby. Najpierw mieliśmy się podkopać pod murem, nie zdając sobie sprawy, że jest to głęboko wpuszczony mur w ziemię i że przekopanie śniegu nic nie da. 23 grudnia wieczorem przy pomocy naszej trójki, po piramidzie krzesła wydostałam się za mur sierocińca. Bieglismy ze Stasiem w ciemnościach grzeżąc głęboko w śniegu.... Stas miał wtedy zaledwie 14 i pół lat... Następnego dnia - Wigilia, chociaż trudna, ale radosna i ciepła. Pani Maria zrobiła nam pierogi z kartoflami, których zjedliśmy trochę za dużo i bolały nas brzuchy... wszystko to jednak było niczym, najważniejsze, że byliśmy razem... Po paru dniach przyszła moja wychowawczyni z sierocińca i kazała oddać ubranie i buty - zostałam prawie naga. Znow były nogi owinięte szmatami, a zamiast ubrania c o s, co dawało trochę ciepła. Było potem dochodzenie, ale wszystko dobrze się skończyło.

[W lutym, a może w marcu zaczęto robić listy osób, które miały być zatwierdzone przez komisję polsko-radziecką, - na mocy umowy lipcowej z 1945r. - do wyjazdu do Polski. Zaczęło się piętrzyć wiele problemów, które dało się rozwiązać, ale trzeba było szybko działać: okazało się, że ani ja, ani mój brat nie możemy znaleźć się na liście, bo jesteśmy bez dokumentów i w zasadzie mamy już obywatelstwo rosyjskie.]

I wtedy Pani Maria załatwiła nam formalne opiekunstwo. Wyszła też sprawa dzieci z sierocińca: zwrócono się do p. Wandy Kamińskiej z prośbą o pozwolenie formalnego załatwienia opiekunstwa dla wszystkich dzieci.- zgłosiło się mnóstwo rodzin. Odpowiedź była uspakajająca, żeby się nie martwić, wszystkie dzieci wrócą do Polski. [Napięcie stawało się coraz większe.] Nadeszły paczki UNR-owskie, dostaliśmy jakies konserwy, cudowne białe toaletowe mydło z kądziem na wierzchu i różne kawałki materiałów. P. Maria uszyła Stasiowi śliczną niebieską koszulkę, mnie natomiast sukienkę z przesłicznej, kał mi się wydawało, flanelki w kolorowe różyczki.

[Przygotowania do wyjazdu były bardzo intensywne; ciągle ktos przyjeżdżał, ktos ciągle wyjeżdżał w celu załatwienia różnych ważnych spraw. Na początku maja /chyba był to 3 maj/ podstawiono wagony, takie same jakimi przyjechalismy w tę stronę - z pryczami, z maleńkimi okienkami i z dziurą pośrodku.]

Gdy wyjeżdżalismy z Atbasaru, na krótko przed naszym wyjazdem zjawila się w naszym baraku wypuszczona z więzienia pani Zofia Brzezińska. Nie pamiętam, czy był to na tyle krótki okres przed wyjazdem, że nie zdążono jej załatwić dokumentów wyjazdowych, czy też była to jakas "akcja specjalna". W każdym razie był to dla nas i dla niej bardzo tragiczny moment. O ile mi się wydaje, pożegnanie odbyło się przed barakiem i chyba nawet p.Zofia nie była w stanie odprowadzić nas na stację.

Okazało się też niestety, że sierociniec, tzn. wszystkie dzieci zostały przejęte przez władze sowieckie i tylko personel wraca do Polski.

wagony były

I tak, przez te wszystkie lata współpracy z Wandą Wasilewską, naszą opiekunką - W. Kamińska - przeszło setki polskich dzieci sprzedana na zawsze. Gdy odjeżdżaliśmy, siódmka najstarszych dzieci ucoekia z sierocińca i dołączyła do naszego transportu. Ukrywani byli przez cały czas podróży i, dzięki Bogu, dojechali szczęśliwie do Polski. Po powrocie zostali przekazani do Domu Dziecka w Gnieźnie.

[Wyszyliśmy w drogę powrotną, która trwała przeszło 3 tygodnie i biegła przez Akmolińsk, Omsk, Swierdłowski, Kazan, Moskwę, Smoleńsk, Mińsk - do Brześcia.]

√ (Dzieci, które zostały, prawdopodobnie były przekazane do jakiegoś rosyjskiego domu dziecka).

Jechaliśmy nie tak, jak w tamtą stronę, tylko w otwartych wagonach. Na każdej stacji, a właściwie postoiu, który najczęściej był w polu, wolno nam było wychodzić. Oddychaliśmy świeżym powietrzem i podziwialiśmy po drodze przepiękną przyrodę. Było dużo lasów, wiele wspaniałych łąk, dużo ptaków i różnych innych zwierzątek.

Kiedy dojeżdżaliśmy do Moskwy, okazało się, że stało tam już wiele transportów, w których była kwarantanna, ponieważ wybuchł tyfus. Prawdopodobnie w naszym transporcie nic takiego groźnego się nie działo, więc nas bez przetrzymania puszczono jakąś okreśną trasą i jechaliśmy normalnie do Polski. Prawdopodobnie /tylko/ p. Wanda Kamińska została w Moskwie, bo już później jej nie widzieliśmy.

Wtóregos dnia ogłoszono, że będzie rewizja i że jeżeli znajdą cokolwiek w jakimś wagonie - wrócimy z powrotem na Syberię. Zdenerwowanie było okropne. Przetrzęsaliśmy swoje rzeczy i każdy wyciągał to, co mogło stać się przyczyną naszego powrotu. Rozpaliliśmy na łące duże ognisko /było to kilkadziesiąt km przed Brześciem/ i każdy wrzucał to, co uważał, że należy zniszczyć. Wszystko spłonęło. Było niestety dużo dokumentów, dużo notatek, książek, któreśmy stracili, niestety... /potem okazało się, że żadnej rewizji nie zrobiono - przyp. z rozmowy/..

Kiedy dojeżdżaliśmy do Brześcia, ogłoszono, że jest już granica... Był to moment niezwykły: rozległ się wielki płacz w całym naszym transporcie. Przekroczyliśmy rzekę i za chwilę byliśmy już w Polsce. [Jechaliśmy jeszcze jakiś czas i przywieziono nas do Skarżyska-Kamiennej. Był tam punkt zbiorczy wielu już transportów odstawionych na boczne tory. W Skarżysku-Kamiennej był zorganizowany już PUK, czyli Państwowy Urząd Repatriacyjny. Przygotowane były baraki, zorganizowana pomoc żywnościowa, odzieżowa i pieniężna. Wydawano dokumenty, bilety i zaopatrzenie na drogę.] My jednak z P. Marią musieliśmy jakiś czas ^{jeszcze} przebywać w Skarżysku. Był tam punkt Czerwonego Krzyża i staraliśmy się o odszukanie naszych rodzin i zdobycie dokładnych adresów. [Chyba po 2 tygodniach kupili nam bilety i wyruszyliśmy na Śląsk, gdzie odnaleźliśmy swoją rodzinę i gdzie p. Maria nas zawiozła. Były to Brzeziny Śląskie k/Bytomia.]

Mieszkali tam moi wujostwo - siostra mojej matki, i moja babcia /matka mojej mamy/. Gdy nas zobaczono, było wielkie zdziwienie, bo nikt się nie spodziewał naszego przyjazdu, gdyż w zasadzie po przyjeździe /do Polski/ korespondencji między nami nie było, zdobyliśmy tylko adres.

I w zasadzie na tym skończyła się nasza tułaczka i zaczął się nowy etap życia, niestety też nie bardzo łatwy.

Wspomnę jeszcze o dzieciach z sierocińca. Otóż po powrocie, gdy byliśmy już wśród swoich rodzin, były czynione starania przez PCK i przez Szwajcarski CK w celu odzyskania sierocińca, w którym byłem. Okazało się, że ślad wszelki po nim zaginął i po dzieciach też, tak że nie udało się zdobyć żadnych informacji na ich temat. Również jeśli chodzi o p. Sofię Brzezińską - p. Maria robiła wszelkie starania, aby nawiązać z nią jakiś kontakt i też to się nie udało... Straciliśmy zupełnie kontakt, nie było żadnych możliwości.

/Relacja spisana w marcu 1988 r./.

- str. 1 ad 1 - /z notatek mego dziadka/, ziemi ornej było 500 mórg, oprócz tego 400 mórg lasu /wspaniały, stary mieszany las, z bogatym pogłowiem dzikiej zwierzyny. Raz lub dwa razy do roku odbywały się w Turówce wspaniałe polowania/, który formalnie był własnością mego dziadka Leona Podleskiego, właściciela Czernielowa Mazowieckiego.
- str. 3 ad 2 - informacja pochodząca od p. Marii Samborowej
- str. 3 ad 3 - to była matka mojej mamy - Anna Podleska, z którą mieszkałam od wiosny 1940 roku w Tarnopolu przy ulicy Moniuszki.
- str. 6 ad 4 - /z notatek mego dziadka/, paczki z Tarnopola przychodziły 3 kg, paczka z Włoch od Contessy Soderini ważyła 10 kg. Tę paczkę podzielono między wszystkie małe dzieci z "cielętnika".
- srt. 9 ad 5 - jak wykazały badania lekarskie-po naszym powrocie do Polski - gruźlicę, na którą chorował mój brat od małego dziecka, wyleczył kazachstański klimat
- str. 17 ad 6 - w nocy wolno było korzystać z wiader ustawionych w każdej sali, w dzień natomiast - wyłącznie z wychodka na mrozie.